

Brygida Helbig: Anioły i swinie. W Berlinie!

Szczecin 2005

© Brigitta Helbig-Mischewski

Klub Kielboludów

Leżek Oświęcimski nie mógł wiedzieć wszystkiego. Z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Do jego pasjonującej publikacji pod tytułem „Klub Kielboludów”, wydanej kilka lat temu w Berlinie, czujemy się zobowiązani dołączyć kilka najnowszych danych z zakresu struktury psychicznej ludzi, w tym także sztucznych, przewiezionych kiedyś z Polski do Niemiec. Spróbujemy dokonać kilku odnośnych uzupełnień, zainspirowani kulturą literacką wyżej wymienionego, która znalazła przekonujący wyraz w jego twórczości. Istnieje bowiem więcej odmian osób kielboludzkich niż pan Leżek – tyleż apriorycznie co absurdalnie – zakładał. Uszło uwadze młodego i obiecującego literata, iż na świecie aż się roi od istot wtórnych niejasnego pochodzenia, nie stworzonych bezpośrednio przez istotę boską, skonstruowanych nawet nie na eksport, lecz tak po prostu, bez powodu. Uszło jego uwadze, że znajdują się wśród nich także kobiety, mało tego, iż sami nie mamy najmniejszej pewności, że nie jesteście zrobieni z mięsa, gałganów lub bibuły.

Brygida Helbig: Anioły i swinie. W Berlinie!

Szczecin 2005

© Brigitta Helbig-Mischewski

Anrath bei Krefeld

Na początku lat osiemdziesiątych Republika Federalna importowała z Polski kilka pociągów młodych, żądnych przygody i dobrobytu ludzi. Wywieziono ich do małej miejscowości Anrath w okolicy Krefeld, aby tam uczynić ich użytecznymi dla znużonego dobrobytem i monotonią, łaknącego świeżych wrażeń niemieckiego społeczeństwa. Wywiezieni – a znalazł się wśród nich co najmniej jeden kobiecy i jeden męski kielboluda – otrzymali status późnych przesiedleńców i wszczęli stosunkowo beztroski żywot stypendystów Otto Benecke Stiftung, pobierających codziennie naukę języka niemieckiego, a co miesiąc pięćset marek w banku.

Ulokowano ich w byłym szpitalu Krankenhaus oraz internacie dla pielęgniarek Schwesternheim. W obu niewyremontowanych budynkach odstraszało, w czym wyrażał się ambiwalentny stosunek administracji niemieckiej do sprowadzonego materiału ludzkiego, więc przesiedleńcy bardzo się bali. Skuleni w swych obskurnych pokoikach dodawali sobie otuchy oglądaniem co wtorek serialu „Denver-Clan”, a co czwartek „Dallas”, którego główną bohaterką była pozbawiona skrupułów Alexis. Nie należy lekceważyć ani wyszydzać tego zwyczaju, gdyż telewizja była jedyną okazją do zdobycia pewnych minimalnych kwalifikacji z zakresu języka i kultury niemieckiej, chociaż z drugiej strony trzeba przyznać, iż stypendyści doskonale się bez tych kompetencji obywali. Niemniej jednak większość z nich zainwestowała pierwsze swe wypłaty w miniaturowe telewizory kolorowe, w których dobrodusznie uśmiechał się Rudi Carell, dudniły hitparady, rześko podskakiwały kobiety w kolorowych getrach.

Nieustającym popytem wśród wychowanej w nędzy polskiej młodzieży cieszyły się również aparaty fotograficzne. Stęsknieni za pozostawioną w kraju rodziną stypendyści wpychali się sobie nawzajem na kolana i zapstrykiwali na zabój. A byli i tacy, którzy już wówczas mogli pozwolić sobie na nabycie samochodu marki Manta i zapieprzanie po ulicach miasteczka z ośmioosobową, kwiczącą załogą na pokładzie. Z tego też względu dochodziło niekiedy do kolizji i zatargów z policją miasta Anrath bei Krefeld, która do przybyczy z Polski, podobnie zresztą jak do niemalże wszystkich cudzoziemców, zwracała się per „ty”, przeciwko czemu Alois von Wysoki, najodważniejszy z grupy i prawdopodobnie kielboluda, pewnego razu kategorycznie zaprotestował. Wzbudził tym głęboką konsternację nie przywykłych do takiego

typu interakcji przedstawicieli państwa niemieckiego, używających słowa „cudzoziemiec” nierzadko w formie obelgi. Zresztą Alois w ogóle z urzędnikami miał na bakier. Zagadnięty kiedyś na granicy, czy przewozi broń, odburknął „ja”, gdyż spodziewał się pytania o paszport, i tak też kwestię funkcjonariusza rozumiał. Wyszarpnięty z manty odważnie plunął Niemcowi w twarz, po czym w kajdankach odprowadzony został do aresztu. Zagniewany powtarzał, ja go zabiję, tego idiotę, oraz wołał pomocy słowami „tłumacz, tłumacz”, co mylnie zinterpretowane zostało jako próba porozumienia się w języku angielskim (too much), zawierająca krytykę ilości stosowanych wobec niego represji. Podobnie niecenzuralnie wyrażał się Alois o niejednym niemieckim pracowniku administracyjnym typu Hausmeister, czyli cieć, wykonującym powierzoną mu pracę z typową dla swej grupy zawodowej nadgorliwością. Jednemu z nich przygadał nawet, iż jest nieludzki, co na długo zapadło niemieckiemu mężczyźnie w pamięci.